

Jan Rokita: Rozbiór bez neutralizacji

Nie tylko dla interesu Polski, ale także dla przyszłych dziejowych losów całej Europy Środkowo-Wschodniej, to którądy będzie biec przyszła granica wschodnia i południowa Ukrainy, jest nieporównanie mniej istotne od tego, czy ukraińska potęga militarna, zbudowana i sprawdzona w czasie obecnej wojny, stanie się filarem bezpieczeństwa wschodniej flanki NATO – pisze Jan Rokita w kolejnym felietonie z cyklu „Z podbieszczadzkiej wsi”.

Zapewne nie jestem ani odosobniony, ani oryginalny, gdy u progu Nowego Roku 2023 zastanawiam się nad tym, czy tocząca się w Europie wojna może skończyć się w tym roku jakimś układem pokojowym. W wolnym świecie, z mniejszym czy większym przekonaniem wspierającym Ukraińców w ich wojnie obronnej, mamy w tej mierze do czynienia ze sporym politycznym paradoksem. Otóż im bardziej politycy i analitycy zastanawiają się nad ścieżkami mogącymi prowadzić do jakiegoś traktatu pokojowego, tym bardziej nabierają w tej kwestii wody w usta, gdyż (jak zresztą niektórzy się przekonali na własnej skórze) mówienie, czy pisanie czegokolwiek na ten temat jest ryzykowne. W przypadku polityków ryzyko jest takie, iż mogą zostać surowo skarceni przez Ukraińców i ich najbardziej roznamiętnionych stronników, jako tchórze i zdrajcy, kombinujący jakby tu szybko i tanio sprzedać walczący Kijów i nie musieć znosić dalej dokuczliwych serwitutów wojny. Zaś ryzykiem publicystów i analityków jest to, iż w debacie publicznej mogą zostać zakwalifikowani jako tzw. „pożyteczni

idioci”, podważający generalnie proukraińskie nastroje zachodnich społeczeństw, a więc czynnie wspierający moskiewską agenturę i propagandę.

I tak zrodziła się swoista proukraińska „polityczna poprawność”, której pierwszym nakazem jest milczenie na temat sposobów doprowadzenia do traktatu pokojowego. Nie jest trudno wskazać racjonalny powód owego nakazu. W jakichkolwiek negocjacjach nad traktatem (o ile miałyby one być prowadzone serio, a nie tylko jako operacja propagandowa) na agendzie musiałyby stanąć dwie kluczowe kwestie, które dziś dla walczącej Ukrainy stanowią polityczne tabu. Pierwsza – to częściowy rozbiór terytorium kraju, druga – to jego militarna neutralizacja. Tymczasem Moskwa, co nieustannie daje do zrozumienia sam Putin, jak i ludzie z jego ekipy, jest zainteresowana właśnie negocjacjami nad tymi dwiema kwestiami. I prawdę mówiąc, to są naprawdę dwa główne punkty negocjacji nad traktatem pokojowym, o ile w ogóle miałyby on zostać w przyszłości zawarty.

Częściowy rozbiór i neutralizacja – to są naprawdę dwa główne punkty negocjacji nad traktatem pokojowym, o ile w ogóle miałyby on zostać w przyszłości zawarty

Wszelkie inne doniosłe problemy, z moralną słusnością podnoszone przez Kijów, jak: ukaranie Putina i Rosji za dokonanie najazdu, reparacje wojenne, czy odpowiedzialność za

liczne zbrodnie wojenne – nie mogą stać się przedmiotem traktatu pokojowego, ale mogłyby zostać narzucone Rosji dopiero w

hipotetycznym akcie jej kapitulacji. Jak na razie, taki akt wydaje się jednak niepodobieństwem, i to nawet wtedy, gdyby Ukrainie i Ameryce wspólnymi siłami udało się oswobodzić wszystkie terytoria okupowane, z Donbasem i Krymem włącznie. Kapitulacja Rosji stałaby się możliwa wówczas, gdyby dokonał się tam wewnętrzny przewrót o takiej skali, że władza znalazłaby się w ręku Nawalnego, Jaszyna i Kasparowa; ale to jest przecież, przynajmniej na dziś, baśń z tysiąca i jednej nocy. Wolny świat może izolować Rosję i karać ją sankcjami, może zaocznie postawić zbrodniarzy przed trybunałem wojennym, może też skonfiskować rosyjski majątek na Zachodzie, przekazując go Ukrainie. Ale to wszystko może zrobić jednostronnie (o ile tylko chciałby chcieć), po to, by wzmocnić pozycję Kijowa w tej wojnie, nie zaś w ramach traktatu pokojowego z Moskwą. Na tym, jak mi się zdaje, polega spore nieporozumienie w debacie, jaka toczy się wokół wojny i perspektywy jej zakończenia na drodze dyplomatycznej.

Powtórzmy zatem: sednem hipotetycznego traktatu pokojowego, o ile w ogóle miałyby on miejsce, musiałaby być jakaś kombinacja rozstrzygnięć w dwóch kwestiach: rozbioru i neutralizacji Ukrainy. Do wyobrażenia są zatem trzy warianty takiego traktatu. Można je symbolicznie opisać formułami: R+N (czyli rozbiór plus neutralizacja), N-R (czyli neutralizacja bez rozbioru) oraz R-N (czyli rozbiór bez neutralizacji). Wariant czwarty: bez rozbioru i bez neutralizacji, to właśnie wspomniana sytuacja zmuszenia Moskwy do kapitulacji. Ukraina właśnie dlatego tak zwalcza wszelkie sugestie na temat traktatu pokojowego, gdyż nie bez racji przeczuwa, że w wolnym świecie, a już na pewno w unijnej Europie, wariant R+N jest jedynym traktowanym serio scenariuszem pokoju. Otwarcie mówił o tym nie tak dawno prezydent Francji, kiedy odpierał ataki, jakie spadły nań po tym, jak publicznie postawił kwestię „powojennych gwarancji bezpieczeństwa dla Rosji” (a nie dla Ukrainy!). Broniąc się, Macron

przyznał otwarcie, iż: „nie należy szukać kontrowersji tam, gdzie ich nie ma”, gdyż wszyscy wiedzą, że przyszłe rozmowy pokojowe muszą zdecydować o „terytoriach, które należą do Ukraińców i bezpieczeństwie zbiorowym całego regionu”. Przekładając to na język konkretów, Macron twierdzi, że on wie, iż wszyscy na Zachodzie wiedzą, że pokój będzie oznaczać rozbiór Ukrainy (pytanie tylko: duży czy mały) oraz militarne wyjście Zachodu z Ukrainy, czyli jej neutralność. To zatem co Francja rozumie jako oczywisty sens przyszłego pokoju, Ukraina traktuje jako pewność kolejnej rosyjskiej inwazji i drogę ku utracie niepodległości.

Z dotychczasowego zachowania Ukrainy i wielu wcześniejszych przemów prezydenta Zełeńskiego można sądzić, iż Kijów jest gotów akceptować wariant traktatu N-R. Odnoszę wrażenie, że wiosną, u początków wojny, gotowość zgody na neutralizację kraju brała się z tego, iż w Kijowie uważano, że jest to jedyna droga do przełamania strachu Europy przed globalną wojną, a tym samym do uzyskania zgodnego poparcia całego NATO i koniecznych dostaw broni. Z czasem jednak ten punkt widzenia ulegał ewolucji. Po inkorporacji części terytorium Ukrainy do państwa rosyjskiego, Zełeński zdecydował się złożyć wnioski o akcesję do NATO, ale potraktował to raczej jako propagandową manifestację. Dzisiaj w Kijowie coraz wyraźniej skłaniają się do poglądu, iż skala szkoleń armii ukraińskiej w krajach NATO i coraz większe rozmiary dostaw amerykańskich technologii wojskowych sprawiają, iż gwarancje USA, jeśli nie całego NATO, dla niepodległości Ukrainy, są już niemal za progiem. Co prawda, nikt ich dotąd nie udzielił *de iure*, ale *de facto* są one dawane etapami, wraz z każdą kolejną partią rakiet, wyrzutni, radarów i cyfrowych systemów informacji. O ile więc nawet domniemana zgoda na rozbiór jest wielkim wyzwaniem dla władz Kijowie, o tyle przyzwolenie na formalną neutralizację wydaje się im dużo łatwiejsze.

Tyle tylko, że traktat N-R byłby w ogóle możliwy jedynie pod warunkiem militarnego wyparcia okupanta z całego terytorium. To natomiast (nie miejsce tu, by nad tym się szerzej rozwodzić) nie może być traktowane dzisiaj jako realne. Przeciwnie. Im dłużej trwać będzie wojna, tym większe szanse na ponowne wtargnięcie nowej wielusettyśięczonej armii rosyjskiej do centrum Ukrainy i powrót do stanu zagrożenia dla samego istnienia suwerennej państwowości ukraińskiej. Jak również zwiększone ryzyko jakiegoś nagłego zachwiania zachodnich państw sojuszniczych, których rządy zależne są przecież od kaprysów zawsze zmiennej opinii wyborców. Dlatego właśnie długa wojna z sąsiadem o ogromnych rezerwach i autorytarnym reżimie niesie dla Ukrainy ryzyko nie tylko duże, ale wręcz egzystencjalne. Ale z kolei hipotetyczny pokój, co w Kijowie podkreślają nie od dziś z determinacją, nie może być li tylko „pieriedyszką” dla Moskwy, która (jak tłumaczył kiedyś Arestowicz) ma dużo czasu, poczeka, dozbroi się i w wygodnych dla siebie okolicznościach uderzy na nowo. Krótko mówiąc, dla Ukrainy pokój może mieć polityczny sens wtedy i tylko wtedy, gdy oznaczać będzie bezpieczeństwo nie na chwilę, nie nawet na przeciąg jednego pokolenia, ale raz na zawsze. Co więcej, tylko taki pokój ma sens również z perspektywy polskich interesów.

A to jest właśnie wariant traktatu R-N. Swego czasu pisałem już na tych łamach, że właśnie Ukraina w NATO po hipotetycznym traktacie pokojowym – to powinien być polski warunek *sine qua non*. Każde inne rozwiązanie sprawi, iż po wojnie strefa europejskiego bezpieczeństwa nie przesunie się na wschód, a więc dla Polski, jako kraju na nowo frontowego, wojna w politycznym sensie byłaby przegrana. Przegrane by były także wszystkie, tak mocno rozbudzone, nadzieje na nowe perspektywy polskiej polityki wschodniej. Gdy o tym napisałem,

Traktat „neutralność bez rozbiorów” byłby w ogóle możliwy jedynie pod warunkiem militarnego wyparcia okupanta z całego terytorium. To natomiast nie może być traktowane dzisiaj jako realne

skrytykował mnie redaktor Piotr Zaremba, sugerując, że mój postulat jest mrzonką. Nie bez racji, bo przecież Macron bynajmniej aż tak bardzo nie kłamie, gdy oznajmia, iż wszyscy na Zachodzie (z Ameryką włącznie) myślą dziś ciągle w

kategoriach traktatu R+N, różniąc się co najwyżej co do momentu negocjacji i skali rozbioru. Ostatnio jednak, co ciekawe, optykę traktatu R-N przedstawił na łamach „Spectatora” stary realista Kissinger. Pisze on, iż: „proces pokojowy powinien połączyć Ukrainę z NATO, jakkolwiek miałyby to nastąpić” („should link Ukraine to NATO, however expressed”). I dodaje, że dalsze utrzymywanie fikcji neutralności Ukrainy jest już, w obliczu faktów, pozbawione sensu.

Nie jest to niestety pogląd, który wyszedłby z kręgów rządu Bidena. A Kissinger jest starcem, którego opiniami bardziej przejmują się europejscy inteligenci niżli amerykańscy politycy. Nie zmienia to jednak faktu, że taki pogląd po raz pierwszy zaistniał w liczącej się debacie publicznej. Nie tylko dla interesu Polski, ale także dla przyszłych dziejowych losów całej Europy Środkowo-Wschodniej, to którą będzie biec przyszła granica wschodnia i południowa Ukrainy, jest nieporównanie mniej istotne od tego, czy ukraińska potęga militarna, zbudowana i sprawdzona w czasie obecnej wojny, stanie się filarem bezpieczeństwa wschodniej flanki NATO.

Ostatnio modne stało się powtarzanie w mediach europejskich, iż to Polska buduje najsilniejszą armię w Europie. Na razie to nieprawda, taką armię lądową już zbudowała Ukraina. Teraz tylko trzeba doprowadzić do dwóch rzeczy. Raz – żeby to wielkie osiągnięcie nie wzięło w łeb, wraz z ponownym zagrożeniem suwerenności Ukrainy w wyniku długiej i niszczącej wojny. I dwa – żeby zawrzeć w miarę szybko taki pokój, który z niepodległej Ukrainy i jej potężnej armii, wyposażonej przez Amerykanów, uczyni filar bezpieczeństwa Europy. Po tekście Kissingera jest więc dobry moment, aby Polska przestała kunktatorsko milczeć, ze strachu przed Amerykanami, co do złożonego we wrześniu wniosku Kijowa o akcesję do NATO, a zajęła się intensywnym organizowaniem lobbingu na rzecz tego wniosku. Bo to, że Ukraina zostanie w końcu okrojona, jest niemal pewne. Ale to, że okrojona Ukraina miałaby jeszcze zostać wypchnięta poza strefę gwarantowanego traktatowo bezpieczeństwa, byłoby złowróbnym aktem dla przyszłości samej Ukrainy, Polski, całej Europy.

Jan Rokita